



JOANNA BARTOŃ

*Do niewidzenia,
do niejutra*

Joanna Bartoń

**DO NIEWIDZENIA,
DO NIEJUTRA**



[Kup książkę](#)

Copyright © Joanna Bartoń, 2015
Copyright © wydawnictwo JanKa, 2015

Wydanie I
Pruszków 2015

ISBN 978-83-62247-37-0

[Kup książkę](#)

Tak, tak, ironia. Każdy broni się, jak potrafi. Ale jeżeli pewnego dnia przestanę kochać, oznaczać to będzie, że przestałem oddychać.

Romain Gary, „Blask kobiecości”

(tłum. K. Szeżyńska-Maćkowiak)

(...)

NOWY DZIEŃ

Z zaciekawieniem wpatruję się w ścianę. Nie jest pomalowana zwykłą czarną farbą. Wygląda raczej, jakby ktoś pokrył ją cieniutkimi, ale mocnymi kreskami ołówkowego rysika.

Poruszona mrówczą pracą twórcy tego osobliwego fresku, przykładam do niego dłoń.

– Ściana płaczu? Jaką modlitwę chcesz jej wcisnąć?

Kurwa! Nie śpi! A miał spać przecież! Albo to mnie już dawno nie powinno tu być?! Teraz nie będę mogła ulotnić się stąd po angielsku. Będzie zwyczajnie, po polsku – uścisk ręki, względnie całus jakiś. Absolutnie nie jestem na to przygotowana. Muszę szybko nadać twarzy taki wyraz, żeby nie było widać, jak bardzo jestem zawiedziona, że muszę go jeszcze oglądać. W końcu siadam, opieram się plecami o poduszkę i patrzę na niego.

Siedzi w fotelu naprzeciwko. Ubrany w czarny podkoszulek oraz czarne dresowe spodnie. Miniona noc postarzyła go o co najmniej dziesięć lat. Wydaje się kruchy, chory i, co tu kryć, solidnie sponiewierany. Najwyraźniej jakiś koszmar senny wrzucił go do pralki na wysokich obrotach, a potem cisnął tu takiego pokurczonego i wymiętego na fotel. Ciemne kręgi pod jego oczyma zatrzymują się dopiero w połowie twarzy, która srebrzy się dojrzałym niedogoleniem.

– Cieszę się, że nie musiałem cię budzić – chrypi bez choćby cienia deklarowanej w słowach radości. – Koło łóżka postawiłem sok pomarańczowy i rogaliki – dodaje cicho i chrząka.

– Dziękuję.

Bądź co bądź jedzenie jest niezłym pretekstem do niepodejmowania tych wszystkich męczących starań, aby kulawa wymiana zdań stała się trochę mniej kulawa.

Sok jest wyśmienity. Gęsty od miąższu. Unosi się na nim jakiś drobny ciemnozielony listek, który próbuję zidentyfikować.

– Mięta – mówi apatycznie Profesor, chcąc najwyraźniej wyprzedzić pytanie, którego i tak nie miałam zamiaru zadać.

Gryzę rogalik. Chrupiący i jeszcze ciepły. W środku skrywa budyniowe nadzienie z wyraźną nutą wanilii.

– Pyszny – wyduszam z siebie między szybkimi kęsami.

Odpowiada mi czymś, co miało być zapewne uśmiechem, ale z braku sił utkwilo w mocno nedorobionej fazie pośredniej.

– Dziękuję za śniadanie. Za ile ma... ma pan to kolokwium? – pytam w końcu, odkładając tackę.

– Pan?

– No, znaczy ...

– Pan. – Zagląda mi nieprzytomnie w oczy, potem zwiesza głowę.

Patrzę na niego z coraz większym niepokojem. Dzieje się z nim coś niedobrego. Po jego czole drobią kropelki potu, a on, skulony w kłębek nieutulonych nerwów, kiwa się w tę i wó w tę, drapiąc się zaciekle po rękach.

– Ty mi lepiej powiedz, dlaczego ty jesteś taka mała, co? Wczoraj byłaś jakaś większa. Dlaczego jesteś mała? To jest niemożliwe, żebyś była taka mała, to jest nierealność jakaś straszliwa! – mamrocze jak w malignie. Posyła mi spojrzenie, którego nadawcę można pośądzać o wiele, ale z pewnością nie o przynależność do szczęśliwej kasty normalnych na umyśle. To oczy nieuleczalnego pacjenta kliniki dla nerwowo chorych, z której nikt go już nawet nie wypisuje, bo i tak wciąż do niej wraca.

– Zażegnać trzeba małość twą albo dotknąć jej i się przed nią ukorzyć – szepcze w końcu, opadając na kolana, po czym jednym szarpnięciem zrywa ze mnie kołdrę.

Zaraz też chwytą za kostki u stóp i zaczyna ciągnąć. Cyganka była chyba zbyt łaskawa, kiedy wieszczyla mi jeszcze osiem lat życia – bardzo możliwe, że ono skończy się lada chwila, i to w dość

dramatycznych okolicznościach.

Mimo to nie bronię się, nie opieram, poddaję się zupełnie bez walki. Absurdalność sytuacji sprawia, że w trosce o własny psychostan mocno rozluźniam związek umysłowy zarówno z nią, jak i samą sobą.

W białej bokserce sunę więc plecami po czarnym prześcieradle. Z całej siły skupiam wzrok w miejscu, gdzie ściana łączy się z sufitem i wyobrażam sobie, jak filmowo i awangardowo muszę teraz wyglądać z tej perspektywy. Jurorzy festiwalu w Sundance byłiby na pewno zachwyceni ciężarem emocjonalnym i wymową tej jakże plastycznej sceny.

– Stopy, stópki, stópeńki wręcz, małe, dużo za małe – duka tymczasem Profesor, przykładając kolejno moje stopy do swojej prawej dłoni; jest nieznacznie od nich większa.

– Trzydzieści sześć w porywach. Mam kłopot z zakupem obuwiawiasami – mówię w nadziei, że to go choć trochę uziemi.

– Sam sprawdzam! Nie mają dzieci głosu... i ryby! – ryczy, wyrzucając ze spierzchniętych ust strzępki śliny.

Zaawansowana inwersja składni, nie jest dobrze. Postanawiam go nie drażnić. Obracam głowę na bok i wpatrując się w poruszającą wiatrem kotarę, zza której przebłyскуje słoneczny dzień, myślę o swoim życiu. Oto gdzieś tam wśród rozświergotanej wiosny na zajęcia idą moi znajomi z grupy, a ja leżę tu w majtkach i podkoszulku, dając się macać podstarzałemu wariatowi. Wczoraj w celach samobójczych odmierzałam krokami peron dworca, a dziś ten piękny mimo choroby mężczyzna, z paranoją na punkcie małości, odmierza dłońmi moje ciało.

– Łydka półtorej dłoni. Za mała. Udo, udko właściwie, dwie dłonie. Za małe. Rączka. O kurwa. Od nadgarstka do łokcia jedna moja dłoń! – mamrocze Profesor. I maca mnie, i klepie te swoje płomienne litanie, i to tak szybko i niewyraźnie, że nie sposób zrozumieć sedna: do kogo je śle i o co właściwie prosi. Oby o spokój ducha i niechaj będą wysłuchane, bo nie chcę tu utknąć na wieczność.

– Proszę, ja muszę to sprawdzić – słyszę w końcu jego płaczliwe błaganie.

Patrzę na Profesora. Jest na skraju wyczerpania. W dodatku czepia się gumki moich majtek jak ostatniej deski ratunku. Tam chce szukać kobiety. Gdybym tylko wiedziała, że to pomoże mu ugasić pożar na neuronach, zdarłabym je z siebie bez wahania i to jednym ruchem dłoni. Zrobiłabym wszystko, byleby tylko skrócić męki, które funduje mu bez krzty umiaru chora głowa. Ale wiem przecież, jak tam wyglądam!

O nie, Profesor nie znajdzie tam niczego, co go ukoi, wręcz przeciwnie. Kładę więc swoją dłoń na jego dłoni i kręcę przecząco głową – jak mama, która ostrzega dziecko przed zrobieniem czegoś głupiego. Po chwili przesuwam mu rękę pod swoją koszulkę, uśmiecham się nieznacznie i znów obracam wzrok w kierunku kotary.

Profesor sunie spoconymi palcami po moim brzuchu, by w końcu trafić na koło ratunkowe. Nawet dwa. Nie jest to dotyk ani w calu erotyczny. To jest rozpaczliwy dotyk wysuszonego na śmierć pustynnego wędrowca, któremu Matka Boska Litościwa podsadziła pod nos cycek w fazie laktacji.

Projekt okładki:
Anna M. Koźbiel, Adam Walas

ad/
manum

Zdjęcie autorki:
Cobretti

Redakcja i korekta:
Janina Koźbiel, Jan Koźbiel

Skład i łamanie:
MJK

ISBN 978-83-62247-37-0

Wydawnictwo JanKa
ul. Majowa 11/17
05-800 Pruszków
694 536 051
wydawnictwo@jankawydawnictwo.pl
www.jankawydawnictwo.pl

[Kup książkę](#)